nie autoryzowane

I/1009

Janina Kwiatkowska

nagranie w Londynie w czerwcu 1994 r.

/nagrane przez Małgorzatę Giżejewską/

A /mała taśma/

Moje nazwisko z domu: Melania Janina Szrodecka.

Moim pradziadem był książę Karol Giedroyć z Królewca, ożeniony z moją późniejszą babcią - Janiewicz z Janiszewskich. Z tego małżeństwa urodziła się Maria- księżna Giedroyć, tj. matka mego ojca. Była ona właścicielką majątku Korzan. Z jakiegoś tytułu Korzany poszły pod licytację i majątek ten kupił sąsiad - Stefan Szrodecki.

Korzany leżą w woj. białostockim, stacja Strabla - 30 km od Białegostoku i 25km od Bielska Podlaskiego.

Była to posiadłość magnacka, majątek pańszczyźniany, mnóstwo wiosek u szczytu swojej sławy liczył 6 600 dziesięcin - ogromna posiadłość. Podobno dziadek z babcią /babcia - księżna Giedroyciowa-Szrodecka z dziadkiem przehulali większość majątku/. Z teho małżeństwa było pięcioro dzieci: dwóch braci i trzy córki. Jeden z braci umarł /pc przeziębieniu się na polowaniu/, został mój ojciec.

Centrum majątku, które mój ojciec z ciotkami przejął to było już tylko 375 ha ziemi. Ojciec gospodarował w tym centrum, a ciotki - po bokach.

W 1939 r. ojciec poszedł na wojnę (ale nie został przyjęty, bo był jako inwalidą z 20-go roku /przez bolszewików miał szablą przeciętą głowę i przestrzeloną prawą rękę/. Skutek był taki, że jak bolszewicy przyszli, to go aresztowali, zawieźli do Mińska, potem do Kozielska, skąd się uratował dzięki temu, że był chory i został umieszczony w szpitalu. Po amnestii dostał się do Buzułuku do Armii Andersa, tam leżał w szpitalu, potem został przerzucony do Persji, potem - już po skomunikowaniu się z nami - do Kairu. Następnie razem z wojskiem wyjechał do Anglii. Umarł w Londynie w 1966r. Przed wojną był rotmistrzem kawalerii - jeszcze przed wojną.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

/J. Kwiatkowska, c.d./

Z naszego majątku ojciec oddał wszystko co było: całą stadninę, wojsku polskiemu i bydź zostaliśmy tylko z jedną klaczą, która była źrebna.

12 lutego 1940 r. nas z matką wywieźli do Rosji. Ja miałam wtedy 9 lat siostra 10 skończonych.

Ojciec i matka należeli po wybuchu wojny do polskiej organizacji podziemnej /nie wiem jak się nazywała/, do której należał też nasz ksiądz Sargiewicz, kierownik szkoły, wójt z gminy. Ojciec został aresztowany ok. dwóch miesięcy wcześniej i siedział w Mińsku. Mamie - w związku z tą organizacją kazano się potem ukrywać w Białymstoku. Ja wyjechałam do Bielska Podl., w majątku natomiast została siostra z babcią /matką mamy/. Były ciągłe rewizje, ale babcia mówiła, że moja siostra ma tyfus, sama wyrwała zęby i nie wpuszczała ich. Nie byli to bolszewicy /Rosjanie/, ale chłopi białoruscy z czerwonymi opaskami z okolicznych wsi. A chłopi przed wojną nie bardzo ojca lubili, bo był bardzo srogi, nie uznawał żadnych sądów i lał chłopa prosto w mordę. Ale był sprawiedliwy. Któregoś dnia mamie dano znać, że babcię i Alę wywieźli na Sybir. Mama zabrała mnie z Bielska i pojechałyśmy dobrowolnie ~~na dworzec~~ szukać wagonu, w którym one są.

I nastawienie było takie, że trzeba "ranał" i tych "pomieszczików" wykończyć. Przychodzili ~~sami~~ młodzi Białorusini z czerwonymi opaskami i chcieli ojca rozstrzelać Pamiętam, że dwa razy ojciec stał pod stodołą, z rękami w górze, a oni stali z bronią, ktoś czytał wyrok i mieli go rozstrzelać. Wtedy przyszli starzy i tych swoich synów upominali, że nie należy tego robić, bo on nie był taki zły itd. i go uratowali. Oczywiście po naszym wywiezieniu chłopi cały majątek rozgrabili.

Dojechałyśmy do stacji Liwicki - tam z boku stały te transporty. Mama miała ze sobą poduszkę i dwa bochenki chleba. ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ Oficjalnie wywiezione były tylko babcia z siostrą. Przez okienko wagonu Ala nas zobaczyła i zaczęła krzyczeć: "Babciu, mama idzie," Żołnierz z karabinem przy wagonie pyta: "a wy czego?" Mama odpowiedziała, że tu jest moja matka z córką i ja chcę razem z nimi jechać. Ten burknął: "durnaja Polaczka". i wpuścił nas do wagonu.

W bydlęcym wagonie było chyba ok. 60 osób. I tak pojechałyśmy.... Jechałyśmy 30 dni. Nie wiedziałyśmy gdzie jedziemy.

Dojechałyśmy do Suchotina. Po drodze, na stacjach spotykaliśmy,ludzi żebrzących, głodnych, z dziećmi na rękach - coś strasznego. Co drugi dzień stawaliśmy i Ala chodziła z wiadrami po jakąś zupę lub kaszę /straszne świństwo/. Wtedy jeszcze wielkiego głodu nie odczuwałyśmy, bo miałyśmy trochę własnych zapasów /chleb i jakąś szynkę babcia zabrała/.

~~Rxxxd~~ Na dzień przed przyjazdem do Suchotina eszałon stanął i zaczęli wyprowadzać po dwa wagony. Ponieważ ci ludzie nie wracali, a czas wlókł się strasznie, więc powstała panika, że nas tu będą mordować. Po paru godzinach te dwa wagony wróciły o zabrali nowe. Okazało się, że prowadzili wszystkich do bani. Była to ogromna sała, rozdzielili kobiety, mężczyzn i dzieci oddzielnie, wszystkim kazano rozebrać się do naga, wszystkie panie stały nagusieńkie. Puszczano przez małe drzwi do samej łaźni. W drzwiach stali mężczyźni, którzy podawali małe mydełko. Mężczyznom podawały madło kobiety - jeszcze jedna perfidia.

W drodze wypuszczano nas co drugi dzień, kazano siadać w kółeczko , ściągać majtki i tak się załatwiać. W wagonie była tylko taka dziurka, do której dzieci mogły siusiać.

W bani zabrali nasze ubrania do odwszenia i do dziś nie wiem, jak oni to zrobili, że mając tyle osób wiedzieli komu co oddać.

Na drugi lub trzeci dzień dojechaliśmy do tego Suchotina /Suchocina?/ Tam nas wszystkich wywalili, były tam chyba tysiące ludzi. Staliśmy parę godzin na gołym stepie czekając co będzie dalej.

Dopiero o zmierzchu w tumanach pyłu przyjechały "bastarki" - otwarte samochody ciężarowe. Zaczęli nas do nich ładować. Odbywało się to w panice, bo oni nas popędzali i poszturchiwali kolbami, więc mama trzymała nas za ręce, żebyśmy się nie pogubiły. Oczywiście straciłyśmy po drodze wiele rzeczy, bo babcia staruszka nie mogła sobie z nimi poradzić. Jak ruszyliśmy, to zaczęły się krzyki :mama, mama. I moja mama zorientowała się , że na naszym samochodzie jest dwoje dzieci, które rozłączono z matką. Staś miał chyba 7 lat, o Ania - 5 lat. I mama się nimi zaopie-

kowała. Przywieźli nas do posiołka, który się nazywał ~~Xxxxxxxxxxx~~ "Nowodworówka". Był to niemiecki posiołek - Niemców wywiezionych przed 150-tu laty. Wyrzucono nas tam w nocy i powiedziano: szukajcie sobie mieszkania. Mama nad ranem znalazła jakieś pomieszczenie - jakąś sień, do której - za opłatą naturalnie - nas wsadzono. I tam mieszkałyśmy chyba miesiąc. - razem z tymi przygarniętymi dziećmi.

Posiołek był bardzo ładny, porządny - typowy dla Niemców.
Po paru tygodniach mama dowiedziała się, że w innym posiołku są nasi znajomi, dostaliśmy pozwolenie na przeniesienie. Mama wzięła taki wózek na dwóch kółeczkach i pojechałyśmy z dziećmi i rzeczami do posiołku w którym nie było ani jednego drzewa.
"Zielony Gaj". Po ok. miesiącu przyszła do nas matka tych dzieci, która obeszła wszystkie posiołki w tej części stepu, żeby znaleźć swoje dzieci. Ale była tak strasznie wycieńczona, że po miesiącu umarła.
Ala - moja siostra - była gospodarzem całej rodziny: załatwiała jedzenie, opał itd., a my we trójkę zorganizowałyśmy pogrzeb tej pani i chodziłyśmy z tymi dziećmi na jej mogiłkę, którą przystrajałyśmy jakimię słonecznikami... Spiewałyśmy tylko jedną ~~xxx~~ pieśń, którą znałyśmy: "Serdeczna Matko..."

Po trzech miesiącach umarła moja mama. Nie chorowała. Pojechałyśmy zbierać kiziaki. Nazbierałyśmy kilka worków. Mama źle się poczuła, bardzo ją bolała głowa i położyła się pod wózkiem z kiziakami, gdzie było trochę cienia. Myśmy jeszcze trochę pozbierali tych kiziaków, a jak wróciliśmy do domu, to mama już się położyła chora. Trzy dni była przytomna, trzy - nieprzytomna i zaraz umarła. Miała 31 lat..... Była bardzo ładna, brunetka....

Była to druga kobieta, która umarła w tym posiołku w tym czasie i na pogrzebie tłumy były straszne, nie wiem skąd się ludzie dowiedzieli - było mnóstwo Polaków, właściwie Polek. Myśmy mieszkały w takiej starej bani, dość daleko od wioski, ale cała wieś wyległa, bo to dla nich było takie niecodzienne widowisko. Nasze Polki śpiewały wszystkie znane im polskie pieśni - patriotyczne i kościelne.

Od szczytów tej bani oderwano deski i z nich zrobiono mamie trumnę

Mamę pochowano obok tamtej pani i miałyśmy już dwie mogiły do strojenia.

Przed śmiercią mama bardzo ciężko pracowała - musiała wykopać 35 metrów bieżących rowu, który był zarośnięty trawą, bo budowano tam drogę, oczyścić ten kawałek szosy i oczyścić ten rów, który był już dawniej, tylko zarósł darnią. Pracowała w tym skwarze; nigdy nie wyrobiła tej normy, bo nogdy nie pracowała fizycznie i była bardzo szczupła. Mogła wykopać tylko 10 metrów.

Zostałyśmy więc same z babcią staruszką. Babcia zdawała sobie sprawę z sytuacji. Pisała wiersze /siostra ma je u siebie/.

Potem umarła ta mała dziewczynka. Umarła z głodu, bo u nas już nie było nic. Wszystko co miałyśmy, to wymieniłyśmy już na jedzenie. Był to 1941 r.

Jak były zboża w stepie, to trochę kradłyśmy, ale najgorsza była wiosna i zima. Wtedy był straszny pomór z głodu. - umierały zwłaszcza dzieci. Zaczęły się choroby, tyfus, biegunki, kurza ślepota....

W 1942 r. umarł Staś. - też z głodu.

O amnestii dotarły do nas wiadomości. Z nami był ojciec księdza Sergiewicza, kaleka bez ręki, a inni Polacy, którzy byli z nami zostali zabrani do tzw. trud-armii i myśmy zostały tylko dwie, bo byłyśmy "nie trudo-sposobnyje". Ojca księdza Sargiewicza zabrali też. Po amnestii nasz ojciec i ksiądz dostali się w okolicach Buzułuku do wojska, tam spotkali się z ojcem księdza i ten powiedział, że my jesteśmy na Syberii. Ojciec był wtedy w szpitalu, ale przez swego ordynansa wysłał nam pieniądze. Przyszła wiadomość z sielsowietu, żebyśmy przyjechały do ojca do Buzułuku. Ale myśmy nie miały na wykupienie - na porto. I nam nie dali tych pieniędzy. Anders przerzucił swoje wojska bardzo szybko i nie miałyśmy już wiadomości o ojcu. Myślałyśmy, że umarł. Dopiero dowiedziałyśmy się, że żyje i gdzie, jak przyjechałyśmy do Poski w 1946 r. A przez ten czas ojciec szukał nas przez Czerwony Krzyż podając adres, gdzie jesteśmy. A Czerwony Krzyż odpowiedział, że myśmy tam nigdy nie były. Ojciec więc wiedział, że mama nie żyje, a my jesteśmy w Kazachstanie.

Opiekował się nami Pan Bóg i staruszka Babcia.

Pracowałyśmy w steepie i kradłyśmy. Siostra pracowała na kombajnie i wyrzucała zboże do kupki słomy na polu. W nocy wracałyśmy obie na pole, ale nie potrafiłyśmy znaleźć ani tego rzędu ani kupki, bo xx to było niemożliwością... Na stepie, wśród wilków - dwie małe dziewczynk ... Pamiętam, że siostra mnie strasznie lała, bo się tak bałam. Ja w tych latach w ogóle nie rosłam, tylko byłam strasznie gruba - nalana wodą, a siostra była jak tyka. Jej widocznie imponowało, że była naszą karmicielką, ale potem się przyznała, że ona też się strasznie nyła, a lała mnie, żebym za nią szła, bo ja jej dodawałam otuchy, że za nią ktoś idzie.

Myśmy zdychały z głodu strasznie. Czasem byłyśmy zawiane śniegiem przez trzy dni, nie miałyśmy wtedy nic do jedzenie, ale jakoś przeżyłyśmy.... Jak przeżyłyśmy, to nie wiem...

Jak śniegi stopniały, to chodziłyśmy daleko, daleko na pola, na których przez zimę przechowały się jakieś kłosy zboża, bo Rosjanie nie zbierali ich po żniwach, tylko puszczali z dymem i niektóre kłosy się przechowały przez zimę. Zbierałyśmy kości po śmietnikach, które xx się tłukło na mąkę i jadło. Zbierałyśmy suche kartofle, które wyschły na polach i z tego się żyło. Siedziałyśmy przy jamach borsuków, nauczyłyśmy się łapać susły xxxxxxy i jadłyśmy je. Jadłyśmy wszystko, co się dało - padlinę, lebiodę , koper, wszystko..... Nie wiem jak przeżyłyśmy.

W każdym razie przez 6 lat nie jadłyśmy chleba anirazu, przez 6 xx lat nie widziałyśmy jajka. Tylko w czasie lata starałyśmy się zebrać jaknajwięcej ziarna, które potem mełło się na żarnach na mąkę i było na zimę. Z mąki robiło się na wodzie taką mamałygę.... Pan Bóg strzegł

Babcia też przeżyła. Żyła bardzo schorowana, nie wychodziła z ziemlanki. Umarła jak miała 76 lat - w Polsce.

Po śmierci mamy zabrano nas do sierocińca rosyjskiego, gdzie nas okradli doszczętnie i w rezultacie siostra - jako rodzinny "wodzirej" postanowiła, że wrócimy do babci. Sierociniec był też w Zielonym Gaju.

Ziemlanka była wkopaną do połowy w ziemię, jak padał duży deszcz, to lało się nam na głowę, jak był mróz - było bardzo zimno. Ale jak było ciepło, to

można było wytrzymać. W ziemlance było małe okienko, nad ziemią. Hodowałyśmy nawet królika, którego mimo głodu nigdy nie zjadłyśmy. Ten królik był częścią naszego życia, nazywał się "Kluska" i była taki sam mądry jak my. Tak samo umierał z głodu, cieszył się, jak było słońce, chodził za nami jak pies. Losy królika były smutne, bo jak wyjeżdżałyśmy z Rosji, to, to musiałyśmy go oddać sąsiadce i napewno, jak tylko wyjechałyśmy z wioski, to królik został zjedzony.
Królik z nami rozmawiał, był biały z czerwonymi oczami.... Ja sobie wyobrażałam, że to jest dusza naszej mamy....

Nie miałyśmy pościeli, spałyśmy w słomie w takiej zagrodzie, z ~~xxx~~ nami spał królik. Babcia spała na jakimś żelaznym wyrku. W zimie na ścianach zawsze było na dwa palce mrozu, babcia miała taką kołderkę, pod którą spała.

Kiedyś w zimie, może w 1944 r., nie było czym palić, mróz był straszny, do -50°C, Dwaj chłopcy z sąsiedztwa, chyba 12-letni powiedzieli, że jadą w nocy na step, wykradną woły z kołchozu i będą szukać opału. Powiedzieli, że jak ja z nimi pojadę i pomogę im zbierać, to dadzą mi wiązkę słomy. I ja pojechałam z nimi w nocy. Noce tam są jak noce polarne, bardzo widne, bo księżyc świeci i jest widno jak w dzień. Zbieraliśmy tę słomę całą noc, rozkopując każdą wypukłość na ziemi. I dali mi tę wiązkę słomy, resztę naładowaliśmy na wóz i wracaliśmy - wiele kilometrów - do posiołka. Chłopcy siedzieli z przodu, a ja z tyłu. Strasznie zmarzłam, ale w pewnym momencie zrobiło mi się ciepło. - był to objaw zamarzania. Dosłownie, nawet nie ciepło, ale gorąco, aż pot występuje na czoło. I w tym momencie przyszła do mnie mama - pamiętam to po dzień dzisiejszy, jak była ubrana - w białej sukni z liliowym wykończeniem, obłożona kwiatami słoneczników. Przyszła i mówi do mnie: "Nie martw się Jasiu, zaraz ci będzie ciepło".
I na tym się skończył mój sen, znalazłam się leżąca na ziemi, w strasznych bólach, bo mnie rozcierali śniegiem. Okazało się, że ta fura na gładkiej drodze się wywróciła; gdyby się nie wywróciła, to nigdy bym

nie dojechała.... Widocznie tak Pan Bóg dał. Chłopcy mnie rozcierali śniegiem. Jak oni tę furę postawili z powrotem, to nie wiem. Jeden z nich potem poganiał woły, a drugi mnie prowadził, właściwie ciągnął, żebym szła. I jakoś doszłam trzymając się tej fury. I nie mam ani jednego palca odmrożonego, ani nosa, nic....

Przez 6 lat nie miałyśmy butów, tylko trepy zrobione z kawałka drewna i pasków z opon samochodowych. Babcia lub siostra zdobyły gdzieś wełnę z wielbłąda, z jakiegoś patyka zrobiły wrzeciono, utkały nici i z tego zrobiły nam pończochy. I w tych pończochach i trepach ostatnie cztery lata chodziłyśmy.

Wiem jedno, gdybyśmy w 1946 r. nie wróciły do kraju, to byśmy następnej zimy już nie przeżyły, bo nie miałyśmy już absolutnie nic - same łaty też połatane. A wszy były takie, że jak się wsadziło rękę pod pachę i podrapało, to pod paznokciami pełno było wszy.

Wszy, pluskwy i nędza.... Jeszcze dochodziły kleszcze. Jezszcze do dziś mam jednego - tak mi wrósł, ale żaden lekarz nie chce mi tego wyciąć...

Podobno w Rosji była jakaś pomoc UNRRA. Powiedziano nam o tym i ja z siostrą poszłam 50 km przez stepy do takiej polskiej delegatury, żeby nam coś dali. I stamtąd nas wyrzucono, bo byłyśmy zawszone - nie wolno nam było wejść. Byli tam Polacy. Był to rok 42 lub 43. Pamiętam, że ta pani nazywała się Kortzmanowa. I ona za nami wyrzuciła jakiś łach, z którego potem babcia uszyła nam majtki. I wyrzuciła chyba trochę kaszy. I myśmy te 50 km wróciły z powrotem.

Potem była już u nas taka straszna nędza, że babcia mnie oddała - daleko od nas - do 4-go Posiołku do takiej pani Frani, która wykupiła swoją rodzinę wychodząc za mąż za pana, który był buchalterem - za ruskiego. On się w niej zakochał i pozwolił jej rodzinie jakoś uciec do Polski. Frania była bardzo bogata - miała i krowy i konia i dom, bo on był jakąś figurą w kołchozie. I potrzebowała niańki do dziecka. I babcia mnie - taką małą, koślawą - oddała do niańczenia tego dziecka, że-

bym jakoś przetrwała zimę, żebym nie umarła z głodu. I ta Frania była tak niedobra, że mnie, dziecku, nie dała nawet żadnych butów. I bosos chodziłam po śniegu, po mrozie. Chodziłam do kołchozu po mleko, po chleb. Jedzenie tam było, tylko bardzo marzłam. I spałam na jakimś okrągłym kuferku - na wieku, bez poduszki, tylko pod kożuchem.Byłam u niej przez całą zimę. Musiałam doić dwie krowy, wodę ze studni przynosić, a wiadro było cięższe ode mnie. I dzieciaka pi nowałam, i gotowałam i sprzątałam. A ona udawała, że jest chora, si działa w drugim pokoju, z piersiami na wierzchu, bo karmiła tego syna, musiałam do nich mówić "proszę pani, "proszę pana" i byłam tą służącą. Muszę przyznać, że nie byłam głodna, ale strasznie ciężk ko pracowałam. Przyszła wiosna, musiał być już czerwiec, bo w kołchozie były już maliny i przywieźli jej taką wielką arbę słomy, którą zwalili pod domem. Frania powiedziała, że ona idzie spać, a ja mam tę słomę znieść do domu, nanosić wody, iść po coś do kołchozu, i jeszcze coś, tak że ja nawet dziesiątej części nie zdołałabym zrobić. A jak nie zrobiłam, to ona mi dobre lanie dawała. A nie była to prosta kobieta - już przed wojną była w gimnazjum.

I ja już byłam tak dobita, że postanowiłam uciec. Było to chyba ze 30 km od naszej wioski. Słomę zwaliłam, gdzie trzeba było, nagotowałam maku, napoiłam tego małego/jaka mądra byłam!/, zamknęłam drzwi, a dawno już sobie tę ucieczkę przygotowałam - wzięłam przygotowane dla nas wiadro bez ucha /do tej pory miałyśmy tylko czajnik, z którym chodziłyśmy do studni/, poszłam do kołchozu, wzięłam ogromny bochen chleba /niby dla niej/, słoik miodu, kilo malin w to wiadro i okrężną drogą uciekłam do babci. Mała byłam, a to wszystko było takie ciężkie! Tam było 10-15 km od wioski do wioski, a między nimi step. I ja sama jedna przez ten step z tym wiadrem wędrowałam. Nauczona byłam, że jak się kogoś widzi z daleka, to trzeba się chować, a ja wszystkiego się bałam. W pewnym momencie zobaczyłam coś w oddali - czy to była fatamorgana, czy czyjś cień - nie wiem, w każ-

dym razie zeszłam w bok i położyłam się w trawie. A to przejeżdżał jakiś Kirgiz. Wylazłam z tej trawy dopiero jak był już daleko. Po drodze byłx posiołek, chyba 10-ty. Tam była pani Skalska - też biedna, w strasznej nędzy i ona właśnie poleciła babci, żeby mnie oddała do tej pani Frani. Przyszłam do ten pani Skalskiej z tym wiadrem z poranionymi nogami, wykończona zupełnie. Ona mnie przenocowała, sama mi nogi umyła i nie mogła darować tej pani Frani jej zachowania wobec mnie. Zatrzymałam się u niej ze dwa dni, dopóki nie odpoczęłam. Przez całą drogę głodna byłam jak wilk, ale tego chleba nie tknęłam. Poszłam dalej, do babci i już babcia mnie nigdzie nie puściła, mówiąc, że jeśli już mamy umierać, to umierajmy razem.

/była epidemia/

Przeżyłam tyfus brzuszny, potem plamisty, bo myśmy z siostrą pracowały w łaźni. Do tej łaźni przywożono chorych, tam ich myto i odwszano w piecu ich ubrania. Byłx takie półki, na nie nosiło się gorącą wodę w dużych kadziach i polewało się ubrania. I wtedy się zaraziłam, ale jakoś przeżyłam. Siostra się nie zaraziła.

Niczym nas nie leczono. Leżałam w domu, babcia robiła okłady z gorącej wody i to wszystko. - jxxx przecież żadnego lekarza, ani szczepionek nie było.

Do tego sierocińca wzięli nas, bo naczelnik kołchozu zakochał się w mojej siostrze. Potem, kiedy pracowałyśmy w tej łaźni to znowu zaczął przychodzić, chciał ją zgwałcić. To był Rosjanin - bandyta, xxx odesłany z frontu, bo był ranny. Został komendantem naszego kołchozu. Okropnie przeklinał - na Matkę Boską i Pana Jezusa - strasznymi słowami. Po umyciu chorych siostra musiała wymyć całą banię i wtedy on ją chciał zgwałcić. Uciekła. i zamknąć ją i zaczął się na niej mścić. Np. niedano siostrze prawa powrotu do Polski, tylko mnie i babci. Miała wtedy 16 lat, ale nie było jej na żadnej liście. Tragedia była na granicy, jak przyszli bolszewicy sprawdzać. Dopiero pani Skalska, czy komitet organizacyjny, który był w tym pociągu wpisał siostrę do dokumentu. Tam była wpisana babcia Wyrzykowska, ja i Ala - ale innym charakterem pisma.

ma

Ruski zwrócił na to uwagę i powiedział, że to "nieprawnie" i że musi iść do swcich wyższych zwierzchników. Jakiś był ludzki, bo poszedł i więcej nie wrócił. I tak siostra dostała się do Polski "nieprawnie".

A w punkcie zbiorczym, jak myśmy czekały na transport, to ona biedna biegała wokół i bała się, że jej nie puszczą. I babcia wyszła i pocieszała ją: "nie martw się, Jasia pojedzie, a ja z tobą zostanę". I w końcu jak tem żołnierz po raz drugi nie przyszedł, to weszła z nami do wagonu i pojechała.

A tego bandytę to Pan Bóg skarał: jeszcze przed naszym wyjazdem on umierał /a był niedobry nie tylko dla nas, dla wszystkich/, umierał i nie mógł skonać. I przysłał kogoś do naszej babci z prośbą : "Babusz ka, pomodlis do waszego Bohu". I babcia poszła do niego, odmówiła przy nim Litanię i on skonał. Pochowali go na tym samym cmentarzu, na którym i mama leżała i wystawili mu gwiazdę. I kiedykolwiek wracałam z czymś skradzionym, to kładłam to na jego grobie i mówiłam: masz, łap

Ja byłam twórczynią tej piosenki, która jest wspomniana w "Tryptyku". Ułożyłam ją po rosyjsku: "Ja diewczonka na Sibirie pozabyła wsiech ludiej.....

.....

I nikto nie uznajet gdie mogiła moja
I nikto nie uznajet i nikto nie pridiot
Tolko rannoj wiesnoju sołowiej zapajot

.....

Nie wiem, czy ja tę piosenkę gdzieś słyszałam, w każdym razie ode mnie ta pieśń się rozeszła, cały kołchoz to śpiewał i za to byłam uwielbiana, że jaka bohaterka. Ale nie jestem pewna, czy ja tę pieśń usłyszałam, czy sama stworzyłam, ale ona ode mnie wyszła. Wołali na mnie: "Ninka, budiem pojot twoju pieśń".

Prosiłabym o uzupełnienie (niedyspozycja wagonowa)

Dlaczego ja się tak bałam. Jeszcze jak byliśmy w Nowodworówce, to przyszedł list z Polski. Mama pracowała wtedy przy tych rowach i babcia kazała mi zanieść jej ten list. Było to bardzo dalekko, ale ja podreptałam i zaniosłam mamie ten list. Mama kazała mi zaraz wracać, powiedziała, że mogę umrzeć na tym upale. I ja pobiegłam z powrotem. Było to chyba z 5 km. A w czasie upału na stepie często jest fatamorgana. Ja miałam zawsze bujną wyobraźnię. i W pewnym momencie prostopadle do szosy, którą szłam widzę cień. - coraz większy i większy. Ja w nogi, ale widzę, że jedzie ktoś z wózkiem i konikiem - prosto na mnie. Ja zbiegłam na bok szosy do rowu i biegnę dalej. A on się zrównał ze mną i krzyczy: "Zinka /?/, chodź, ja cię podwiozę". To był Kirgiz. Ja pobiegłam jeszcze szybciej, ale widzę, że on staje i wyprzęga konia, to znaczy, że chce mnie dogonić. Zaczęłam strasznie krzyczeć. I usłyszał mnie ten pan Sargiewicz-ojciec, który pracował bliżej niż mama. Zaczął biec do mnie z łopatą. Widząc to Kirgiz wrócił, zaprzągł konia i pojechał z powrotem. A przedtem słyszałam że Kirgizi kradli białe kobiety. A do Nowodworówki przyjeżdżali pejsaci Kirgizi i nwet chcieli kupować białe dziewczęta. Dawali czaj, cukier w kawałkach żeby im sprzedać jakąś dziewczynę. Był wypadek, że pewien Niemiec żył w okropnej nędzy z pięciorgiem dzieci i umówił się z żoną, że ją sprzeda, a ona później ucieknie i wróci do domu. Ale już nigdy jej nie zobaczył. I ja, napełniona tymi opowieściami i przestrogami mamy i babci /"bo was ukradną"/ - na własnej skórze tego doznałam i dlatego tak się ciągle bałam.

Kirgizi nie byli wrogo do nas nastawieni, ale białe kobiety kradli.

Ok. 8 km od nas było jezioro, które w 40 r. miało dwumetrową warstwę soli. W czasie tej pierwszej strasznej zimy ta sól się rozpuściła. Ja później na tym jeziorze byłam z sześć razy, bo w sklepach nie było soli. Więc ja wymyśliłam z kilkoma dziewczynkami wyprawy po sól: brałyśmy beczkę, nabierałyśmy z jeziora tej słonej wody i przywoziłyśmy ją na dwókółkowym wózku do naszego posiołku. Po drodze

połowa tej wody się wylewała, ale coś tam przywiozłyśmy. Pod drodze do tego jeziora był auł kirgiski. Mieszkali w skórzanych jurtach, obok były wąwozy i tam był ich cmentarz. Oni kopali jamę, wsadzali tam umarłego i tylko nakrywali otwór z wierzchu. I całe kilometry od tego cmentarza był straszny smród.

Natomiast jezioro to było coś tak cudnego, że trudno opowiedzieć. Naturalnie rozbierałyśmy się do naga i kąpałyśmy się. Woda była tylko do pasa - kilometrami, gęsta tak, że można się było na niej położyć. A dno było czyste, piaszczyste. Jak się wyszło z tej wody, to było si całym białym od soli. Za to goiło wszystkie pryszcze i rany. Był okre kiedy ja miałam 36 ran na nogach od chodzenia po ścierniskach - i te rany wygoiłam w tym słonym jeziorze.

Potem miałam świerzb. I słona woda też na to pomagała.
Miałyśmy kontakt z jednym chłopakiem, który nas przeprowadzał przez ten auł, żeby nas nie porwali. Był to Kazach. Nie wchodziłyśmy nigdy na ten cmentarz, bo przede wszystkim tam straszny smród, a poza tym bałyśmy się, byłyśmy straszne tchórze - przecież dzieci.

W Zielonym Gaju było kilka rodzin Polaków z Marchlewszczyzny - wywiezionych w 1936 r., dwie ulice było Niemców - niemieckich kolonis tów, wielu było Czeczeńców i Inguszów przywiezionych w czasie wojny, Polacy z Marchlewszczyzny mówili jeszcze trochę po polsku. Pamiętam, że właśnie u nich po cichu zbieraliśmy się na modlitwy polskie.
Ich stosunek do nas był bardzo uczciwy, bardzo solidny, zawsze od nic pożyczaliśmy te wózki. Nie mogli nam pomagać, bo oni sami głodni byli Jak nas zasypywało w zimie, to oni zawsze nas odkopywali.
Przez cztery lata nosiłam jednego rubla, którego mi dała babcia, jak do nich chodziłam po jakieś jedzenie, ~~xxxxxxxxx~~ i chciałam zapłacić tym rublem, to nikt z nich tego rubla nie wziął, tylko czasem dostałam dodatkowo jakiś kartofel, czy cokolwiek.

Raz czy dwa dostaliśmy z Polski paczkę - suszone buraki, trochę mąki. Babcia upiekła opłatki na dwóch kamieniach, mówiliśmy, że dostaliśmy opłatek z Polski i ja przed świętami chodziłam od chałupy do chałupy i sprzedawałam te opłatki - zawsze wtedy dostałam trochę mleka, kartofli lub coś innego do jedzenia.

Ci Polacy oczywiście nie wrócili z nami, bo byli uważani za obywateli radzieckich. Dopiero teraz pozwalają im osiedlać się na ich terenach.

Moja siostra po rozpoczęciu pierestrojki pojechała tam i postawiła pomnik ~~na~~ (w pobliżu grobie) mamy - na stepie /siostra była pierwsza, która tam pojechała/. I za ten pomnik zapłacił kołchoz. Powiedzieli: "wy rabotali szest' godow - bez pieniędzy". I napisali na tym pomniku: Irena Szrodecka, data śmierci..... Priedsiedatielem tego kołchozu jest pan Bagiński - Polak z Marchlewszczyzny. Niedawno był w Polsce i odwiedził moją siostrę. W kołchozie jest teraz dobrym gospodarzem - wprowadził melioracje, w wąwozach urządził stawy rybne i zrobił bardzo ładny kołchoz. Ogrodził też cmentarz i dbają o ten pomnik.

Ci ludzie wróciliby do Polski z zamkniętymi oczami, gdyby ich przyjęto. W czasie wizyty pana Bagińskiego w Polsce, jak się dowiedział, że siostra zamierza odzyskać część majątku, powiedział, że jak jej się uda, to z miejsca przyjedzie i zajmie się zagospodarowaniem tego majątku. Część z tych Polaków wyjechała na swoje ziemie, ale większość siedzi tam. Mają teraz co jeść, ale są biedni i nieszczęśliwi. Mimo, że teraz mają swobodę, porządne własne domki, szkołę i opiekę zdrowotną, ale są w obcym kraju.

Wracając do naszego wyjazdu do Polski: wyjeżdżałyśmy albo z Czkałowa albo z Suchotina. Jak nam powiedzieli, że mamy wyjechać /sobierajtsia s wieszczami"/ to myśmy nie wierzyły. Dali nam dwa woły i..... ..... Był to luty i myśmy szły od wioski do wioski - zbierając tych, co jeszcze pozostali. Jak odjeżdżałyśmy, to cała wioska szła za nami z płaczem. Na punkcie zbiorczym była ogromna sala /a może mnie się taka wydawała?/, pełno ludzi. Wszyscy prawie rozmawiali po polsku - a

ja już słowa nie mówiłam po polsku. Usiadłyśmy, i naraz wokół nas zrobiło się luźno. A po nas chodziły tak ogromne wszy, że wszyscy się odsunęli. Ale to nie było ważne.

W pewnym momencie zrobiła się jakiś szum: wchodzi stary Kirgiz, ogromny, w czapie i kożuchu i wprowadził ze sobą taki mały "tobołek" - w takim samym kożuszku. Porozmawiał z tym komitetem polskim i przekazał im to dziecko - sierotkę polską, która się tam urodziła, a mama widocznie umarła. I oddał to dziecko.

W pociągu jechała ta pani Kotzmanowa z kufrem pełnym kożuchów, /obłowiła się tam/, jechała też pani Frania obładowana, szmuglując swego ruskiego męża w kufrze. Dowiozła go do Polski i mieszkała w Białymstoku, siostra ją spotykała.

"a punkcie zbiorczym w pewnym momencie ~~xxi~~ wywiesili polską flagę i ruską flagę, zaczęli śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła...", to było tak cudowne, to była bajka, że wracamy do Polski, że jesteśmy wolni. A myśmy nie wiedzieli, że w 1945 r. wojny się skończyła, dowiedzieliśmy się dopiero o tym na tym zbiorczym punkcie.

Droga do Polski odbywała się pod strachem, że siostry na granicy nie puszczą. W Brześciu przeładowali nas na szerokotorowy pociąg i kazano nam jechać w ciszy, nawet szeptać nie pozwalali, dlatego, że most jest podminowany/co oczywiście było nieprawdą/. Pociąg jechał tak powoli, a my w strachu, że do Polski nie dojedziemy, że nas tu wszystkich potopią. Ale przyjechaliśmy do pierwszej stacji za Bugiem. A tam tłumy ludzi. Do naszego pociągu wsiedli wcześniej jacyś polscy żołnierze. Pozamykano drzwi wagonów i tych ludzi nie dopuszczono. A ci ludzie podobno kilka dni czekali na pociąg. Dowiedzieli się, że tym pociągiem jadą "bieżeńcy" - Polacy wracają z Rosji....

B

W pewnym momencie podniósł się krzyk i płacz: matka znalazła swego syna, którego przez sześć lat nie mogła znaleźć i w naszym wagonie z nim się spotkała. Dziecia oczywiście słowa nie mówił po polsku. Ja po polsku rozumiałam, ale już nie mówiłam, a klęłam tak, jak najgorszy ruski szewc - takimi słowami, jakich nikt w Polsce nie słyszał

Przywieźli nas do Warszawy... Straszliwej, zrujnowanej Warszawy. Wysiedliśmy na Pradze i tak na schodach siedzieliśmy. Tam nas rozdzielano - gdzie kto jedzie. My naturalnie chciałyśmy jechać do naszego majątku mając nadzieję, że może ojciec wrócił. Siedzę na tych schodach i widzę najpiękniejszy obraz pod słońcem: idzie baba z koszykiem i niesie bułki, duże świeże bułki. Jak ja musiałam wyglądać - tak patrząc na te bułki, że ona wzięła jedną, ułamała i dała mi kawałek. To było chyba najsmaczniejsze w moim życiu co do tego momentu jadłam.

Potem załadowali nas do pociągu jadącego do Białegostoku. Też nie pozwolono nam się odzywać, bo grasuje partyzantka i mogą nas wymordować. Przyjechałyśmy do Białegostoku nie wiedząc co i jak. Mnie zostawiono pod ścianą rozwalonego dworca, żeby pilnować tych naszych gratów. Siedziałam i czekałam aż siostra wróci. W pewnym momencie podchodzi do mnie jakiś człowiek i pyta:"A co ty tu robisz?" - "Żdu", - "A gdzie twoja mama?" - "Pomiorła", - "Skąd ty jesteś?" - "Z sybira". I ten człowiek dał mi jakieś zawiniątko, które miał ze sobą. To były zawinięte w gazecie czarne buty, na koturnie, o dwa numery na mnie za małe. Ale był to najpiękniejszy prezent w moim życiu. I długo chodziłam w tych pantoflach.

Babcia została w Białymstoku czukać rodziny, a ja z siostrą pojechałyśmy do naszego dawnego majątku. Wysiadłyśmy na stacji Strabla, a dalej piechotą. Pierwszy majątek był ciotki. Był to Wielki Piątek - i wokół pachniało jedzeniem. Weszłyśmy we drzwi, a majorowa ciotka mówi do swojej synowej: "Jadziu, proszę dać coś biednym". A Ala wykrzyknęła: "Ciociu, to my!" I mimo, że był to Wielki Piątek, to ciotka nas posadziła przy stole i dała nam mięsa ile chciałyśmy.

Potem zaczęłam mówić po polsku, pierwszy raz poszłam do spowiedzi i ksiądz powiedział, że przez całe życie mam prawo jeść mięso w Wielki Piątek/ bo z tego "grzechu" przede wszystkim się spowiadałam/

Naturalnie w naszym dworze był kołchoz, więc nas nie wpuścili, ale wprowadziłyśmy się do czworaków, bo domu już nie było.

Ciotka chciała koniecznie, żebyśmy poszły do szkoły, więc Ala pojechała do szkoły do Białegostoku, a ja nie chciałam, bo nic nie umiałam. Jak poszłam do gminy - to podpisałam się trzema krzyżykami, bo nie umiałam napisać swego nazwiska. /W Kazachstanie babcia nas nie uczyła, bo myśmy dzień i noc pracowały/. Dopiero na jesieni ciotka zdołała mnie namówić, żebym poszła do szkoły. Chodziłam do szkoły dla dorosłych, takich samych rozbitków jak ja. Ciotka była siostrą mego ojca, bezdzietna, wzięła pięcioro sierot na wychowanie - rozbitków z wojny.

Poszłam od razu do piątej klasy, ale jakoś sobie dałam radę. Maturę zrobiłam dopiero mając 22 lata. Potem zdałam na medycynę, zaliczyłam rok i wyszłam za mąż, za architekta... Po to, żeby po sześciu latach wszystko stracić - i syna i męża i wszystko.....

Miesiąc po naszym przyjeździe przyszedł list z Kairu od ojca, który słyszał, że Polacy wracają z Rosji i że może jego dzieci też przyjechały. Zaczął przysyłać paczki z Kairu, potem z Londynu. Po zmianach w 1956 r. siostra przyjechała do niego w 57 r., a ja - w 58 r. Wróciłam/myśmy/ do Polski, tu urodziłam córkę, potem syna, potem straciłam wszystko i w 1960 r. przyjechałam do ojca na stałe. A siostra cały czas mieszka w Białymstoku.

W Londynie wyszłam za mąż za Kwiatkowskiego, wychowałam tu swoją córkę, teraz mam wnuczkę....

Jednej rzeczy nie mogłam zrozumieć jako dziecko: d l a c z e g o? I ja Rosjanom przebaczyć nie mogę. Ci, z którymi się spotykałam w Kazachstanie, to tylko nas prześladowali. Inni ludzie byli życzliwi, oni - nie.

Ile razy jestem w Kościele, podnoszę oczy na Boga i mówię: "ja nie mogę przebaczyć". Powiedziałam to bp Królowi w Warszawie /w czasie uroczystości odsłonięcia tablicy w Kościele Sw. Krzyża/. Biskup mi odpowiedział:"Ty nie musisz przebaczyć. Oni najpierw muszą spełnić swoje pięć przykazań. A Kościół nawołuje do przebaczenia po to, żeby oni zrozumieli, że to <u>oni</u> muszą przeprosić. Rosja jako naród powinna prze

prosić naród polski.... Naród powinien przeprosić naród".....

Choroby i sposoby leczenia:

Po pewnym czasie dostałam szkorbutu. "szystkie zęby zaczęły mi się ruszać. Na ustach powstały strupy takie, że nie mogłam w cgóle otworzyć ust i groziła mi śmierć głodowa. Nie było ani kroplówek, ani żadnego lekarza. Postępowało to bardzo szybko. W posiołku był kowal. Jedna prosta baba mówi: "idź do niego dziecko, on ci pomoże". Ja myślałam, że to są jakieś zabobony, ale bojąc się tej śmierci głodowej poszłam do niego. On na mnie popatrzył, nic nie mówił, tylko wziął ~~xxx~~ taką szmatę i jak mnie trzepnął w twarz! To była szmata używana do moczenia rozpalonego żelaza w trakcie kucia, ciągle polewana wodą, brudna od wziązków żelaza. Strupy mi się otworzyły, zaczęłam krwawić, zaczęłam strasznie płakać, bo to było strasznie bolesne. A kowal kazał mi przyjść następnego dnia. Poszłam, znowu płakałam, znowu krwawiłam, bo on mi znowu mocno przyłożył - widocznie chciał, żeby te związki żelaza z tej szmaty spłukały mi tę krew. Byłam u niego trzy razy i całe strupy odleciały - nie mam nawet żadnej blizny.

Z tymi ruszającymi się zębami była podobna historia. Poszłam do kowala i on w tej brudnej wodzie - po płukaniu szmaty zwilżającej żelazo zwilżył też jakąś szmatę i przyłożył mi do dziąseł - taki kompres. Robił tak z pięć razy. Kolor zębów miałam prawie zupełnie czarny - utworzył się taki kamień. Dopiero w Polsce pod narkozą usunęli mi to. Ale cynga ustąpiła.

Drugą dokuczliwą bardzo chorobą był świerzb. Trwał on ok. półtora roku. Sposób leczenia był taki: siadało się przed tiepłuszką /glinianym piecylu/ - goło, smarowano mnie naftą /taką od traktorów/ a potem nacierała całe ciało solą. Na to się kładło koszukę i w tym się spało. I tak się od czasu do czasu robiło, bo ten świerzb wracał.

Poza tym nastąpiło u mnie jakieś osłabienie nerwowe /mózgowe?/ i kiedyś postawiłam całą wioskę na nogi: kiedyś pewno usłyszałam o wojnie w Finlandii i że tamtejsi żołnierze są w białych mundurach.

Pewnego dnia przychodzę do domu i zaczynam opowiadać, że był taki pan na biało ubrany i dał mi lalkę. Cała wieś stanęła na nogi, robili rewizję we wszystkich ziemlankach. Ja za to wieczorem widziałam ogromne koty, które na mnie skakały i jeszcze jakieś przywidzenia. Nie miałam żadnej gorączki, byłm zupełnie normalna, tylko było to jakieś osłabienie mózgowe. Dawali mi trochę soli i po tym zasypiałam z miejsca. Mówiono mi, że to jest nasenny środek i bez tego nie zasnęłam. III Ala musiała mnie trzymać za rękę, bo też nie zasnęłam. Wtedy siadałam koło pieca, wszystko się na mnie waliło - sufit, ściany, dostawałam histerii i trzęsłam się jak galareta. I po dzień dzisiejszy pewne objawy mi zostały, np. jak jestem sama, a jest cisza, radio nie gra, to ja się sama siebie boję. Nie mogę też długo siedzieć przed lustrem i malować się, bo po pewnym czasie nie wiem kim jestem. Byłam u psychiatry w Polsce, stwierdzili, że wszystko jest u mnie w porządku, dali jakieś lekarstwa, których prawie nie biorę.

To już chyba wszystko..... I nigdy, nigdy im nie przebaczę... do końca moich dni.

© ARCHIWUM WSCHODNIE